
NASZE RODOWODY

„Nasze Rodowody”, to nowy dział w „Zesłańcu”, w którym publikowane są sagi rodzinne Polaków z Federacji Rosyjskiej i republik postradzieckich. Wątkiem wiodącym łączącym te opowieści jest przybliżenie Czytelnikom wiedzy o polskiej diasporze w tych krajach. Wszystkie teksty przepełnione są różnymi losami, dzięki czemu dowiadujemy się więcej o Polakach mieszkających na Syberii, w Kazachstanie, Uzbekistanie i Jakucji, w Buriacji i na Sachalinie, we Władywostoku, Tomsku czy Omsku.

Intencją redakcji jest ukazanie rodowodu Polaków, których los związał z tymi rozległymi obszarami. Takie ujęcie to nie tylko historia przeżyciami ludzi opowiedziana ale zarazem wielość emocji i doświadczeń jednostkowych w obliczu wielkich rodzinnych tragedii, które dotknęły np. mieszkańców polskich wsi na Syberii, takich jak Wierszyna opodal Irkucka czy Białystok w okolicach Tomsku. Pozwoli to Czytelnikowi poznać działania zbrodniczej sowieckiej maszyny w kontekście przeżyć i doświadczeń jednostkowych milionów mieszkańców byłego ZSRR. Zakres chronologiczny tych opowieści zakreślają daty i wydarzenia z okresu zsyłek carskich na Syberię, dobrowolnej emigracji chłopskiej za Ural oraz deportacji w okresie drugiej wojny światowej i pierwszych lat po jej zakończeniu.

Przedzierając się przez gąszcz tych wydarzeń poznajemy nieraz współczesnych animatorów odradzania się życia polskiego na Syberii, uczestniczących w procesie rewitalizacji tradycji wywodzącej się z rodzinnych przekazów, najczęściej utraconej w ciągu długich lat prześladowań, deetniczacji i asymilowania się w większościowej grupie narodowościowej tj. rosyjskiej. Mamy nadzieję, że cykl ten wypełni lukę w wiedzy o życiu, a zwłaszcza o kulturze i świadomości etnicznej Polaków na Wschodzie, stanowiącej coraz żywsze zainteresowanie badaczy – historyków, etnologów i socjologów. (red)

*

Aleksander Bagiński – *Urodziłem się w polskiej rodzinie*

Urodziłem się w Odessie w polskiej rodzinie katolickiej w ostatnim dniu maja 1926 roku. Ojciec mój Paweł Bagiński zatrudniony był wtedy na kolei w charakterze kowala. Miał pochodzenie szlacheckie lecz starannie to ukrywał. Dopiero podczas okupacji rumuńskiej w roku 1943 zdecydował się pokazać swoim dzieciom świadectwo potwierdzenia szlachectwa rodu, które dotychczas w wielkiej tajemnicy przechowywał na strychu.

Moi dziadkowie Cezary i Michalina Bagińscy mieszkali we wsi Huta w byłej guberni podolskiej. Mieli dwanaścioro dzieci, w tym siedmiu chłopców: Narcyza – najstarszego, bliźniaków Piotra i Pawła (ten ostatni to mój ojciec, urodzony w roku 1892), Jana, Stefana, Fabiana i najmłodszego Juliana. Stefan i Fabian zmarli w wieku dziecięcym. Córki miały na imię: Antonina, Magdalena, Maria, Jadwiga i Franciszka. Rodzina Bagińskich żyła ubogo i wszystkie dzieci ukończyły zaledwie dwie klasy szkoły wiejskiej.

Kiedy mój ojciec osiągnął wiek piętnastu lat, dziadek Cezary odesłał go do mieszkającego w Odessie swojego krewnego – pana Przychodzkiego, by ten wyuczył chłopca na kowala. Niebawem dziadek Cezary zmarł. Tymczasem Paweł Babiński po pobraniu nauki został kowalem i uzyskał prawo do założenia własnego warsztatu. Był barczysto zbudowany i potrafił samodzielnie podkuć nawet nie przywiązanego młodego ogiera. Podczas pierwszej wojny światowej odbywał służbę w artylerii. Na froncie wybuch pocisku ciężko zranił mu prawe ramię, co jednak wcale nie przeszkodziło mu po przejściu do cywila założyć własną kuźnię. Jej właścicielem był przez niedługi okres, gdyż za czasów władzy radzieckiej już na stałe i nieprzerwanie pracował w charakterze kowala na kolei w Odessie, gdzie był bardzo ceniony jako dobry fachowiec.

Pierwszą żoną Pawła Bagińskiego została Julia Górską, która wkrótce zmarła „na suchoty”. Żywot ich córeczki Haliny na tym padole był niestety króciutki. W sierpniu 1925 roku Paweł Bagiński ożenił się po raz drugi. Jego małżonką została Kazimiera Kowalska. Mieli dwoje dzieci – Aleksandra, czyli mnie, oraz młodszą o trzy lata córkę Marię. Ojciec własnoręcznie zbudował niewielki domek w polskim osiedlu Kursaki (później – osiedle imienia Wyszyńskiego) na przedmieściu Odessy. Na działce o powierzchni 12 arów trzymano drób, kozy i krowę, pielęgnowano ogródek warzywny, a później sad. Matka twierdziła, że ojciec „gorzko” pracuje. Po powrocie z nielekkiej, kowalskiej przecież pracy, szliśmy z nim na pobliski poligon wojskowy by kosić trawę dla zwierząt. Po paru godzinach całkowicie wyczerpani wracaliśmy holując ciężki, naładowany trawą wózek. W tym domku rodzice mieszkali do śmierci mojej matki, która nastąpiła w roku 1974. Dopiero wtedy ojciec zdecydował się porzucić Odessę i przeprowadzić się do miasteczka Reni, gdzie mieszkała moja siostra Maria, pracująca w szkole jako nauczycielka matematyki. W tym też miasteczku Paweł Bagiński zmarł w roku 1981.

Matka moja Kazimiera, córka Ludwika i Aleksandry Kowalskich, urodziła się w Odessie w roku 1897. W roku 1908 ukończyła Damską Szkołę Krawiecką. Uczyła się również w gimnazjum, lecz wydarzenia rewolucyjne przekreśliły możliwości jego ukończenia. Do końca życia była panią domu i obszywała całą rodzinę. Bardzo lubiła czytać, pisała bezbłędnie zarówno po polsku, jak i po rosyjsku. Pomagała mi i mojej siostrze Marii rozwiązywać trudniejsze ćwiczenia matematyczne. Owe zdolności matka zachowała do późnej starości. Zmarła na cukrzycę w roku 1974 w Odessie, gdzie też została pochowana.

Mój dziadek Ludwik Kowalski, z zawodu stolarz, przyjechał do Odessy z miejscowości Wałowice w byłej guberni Radomskiej. Zmarł tu w roku 1943 w wieku 77 lat. Pochowany został na cmentarzu katolickim w Odessie obok babci Aleksandry, córki Franciszka z domu Jaworskiej, którą w roku 1927 przejechał pociąg. Aleksandra i Ludwik Kowalscy mieli dwóch synów – Mikołaja i Mieczysława oraz cztery córki: Kazimierę, która była moją matką, Marię Jadwigę i Apolonię. Rodzina nie była bogata, więc do gimnazjum uczęszczali tylko synowie. Dziadek Ludwik mieszkał przy tej samej co my ulicy Szóstej Stepowej, więc stale go odwiedzałem i często z nim rozmawiałem. Ulubioną lekturą dziadka było grube tomisko „Dziejów Polski”.

Wujek mój Mikołaj Kowalski, były sztabkapitan armii carskiej, przeniósł się do odrodzonej Polski. Miał syna Kazimierza i córkę Wandę. Łączność z nimi wkrótce utracono. Wujek Mieczysław Kowalski, mój ojciec chrzestny, po ukończeniu Politechniki Transportu Wodnego w Odessie pracował w Leningradzkiej Stoczni Bałtyckiej i był m.in. głównym budowniczym prototypowego

okrętu podwodnego „Szczuka”, który nadał imię całej popularnej serii, złożonej z 84 jednostek.

Wszyscy moi krewni pięknie mówili po polsku. Mnie również oddano w wieku siedmiu lat do polskiej szkoły. Po ukończeniu pierwszej klasy dostałem list pochwalny, co przekreśliło dalszą w tej szkole naukę, gdyż ojciec ucieszył się z mojego powodzenia i postanowił przenieść mnie do szkoły rosyjskiej. Nie było w Odessie polskiej szkoły średniej, więc ze względu na ewentualne dalsze studia, zmiana szkoły wcześniej czy później była nieunikniona. W roku 1940 ukończyłem szkołę podstawową. Uwielbiałem dwa przedmioty, z których zawsze miałem oceny bardzo dobre – algebrę i kreślarstwo. Podczas letnich wakacji stwierdzono, że cierpię na wadę serca. Z tego powodu lekarz wmówił moim rodzicom, bym zaniechał kolejnego roku szkolnego. W roku zaś następnym wybuchła wojna.

Już po miesiącu Odessa została oblężona przez wojska rumuńskie. Lotnictwo zbombardowało stację pomp w Bielajewce i miasto zostało pozbawione wody. Oblężenie trwało dwa i pół miesiąca. W mieście wywiercono studnie artezyjskie. Po wodę musieliśmy chodzić bardzo daleko i, narażając życie, długo stać w kolejce, gdyż przez całą dobę z nieba spadały bomby. Od września do nalotów lotnictwa dołączyły ostrzały artyleryjskie. Pociski przelatowały nad naszym osiedlem i wybuchały w mieście. W domach i na ulicach masowo ginęli niewinni mieszkańcy.

W dniu 16 października 1941 roku ku zdziwieniu mieszkańców Odessy od samego rana panowała głęboka cisza. O dziesiątej rano przeleciał „kukuruźnik”. Z samolotu rozrzucano ulotki, z których wynikało, że Armia Czerwona z powodów strategicznych miasto opuściła, lecz tu wróci i zwycięstwo pozostanie po naszej stronie. Dopiero gdy zbliżał się wieczór żołnierze rumuńscy skradając się podążyli nieśmiało przez nasze osiedle do miasta. Tej samej nocy dywersanci wysadzili w powietrze sztab wojsk niemiecko-rumuńskich. Rano Niemcy obwieścili, że wszyscy mężczyźni w wieku od 20 do 50 lat muszą pod groźbą kary śmierci niezwłocznie zjawić się w parku imienia Szewczenki. Bardzo wielu mężczyzn do parku poszło, lecz mój ojciec oraz większość mężczyzn z naszego osiedla pozostali w domu. Z tych co poszli nie wrócił nikt. W ten sposób rozpoczęła się okupacja, która trwała dwa i pół roku.

Ojciec zdecydował się zapisać mnie do jedynej na całe miasto siedmioklasowego liceum ogólnokształcącego, które założyła emigrantka rosyjska pani Aswadurowa. Absolwenci liceum dostawali prawo do dalszych studiów na uczelni wyższej. Mnie przyjęto do piątej klasy. W liceum wykładali profesoriowie akademicy, jedynie zajęcia z matematyki prowadził nauczyciel z naszej byłej szkoły. Kiedy Armia Czerwona zbliżała się do Odessy pani Aswadurowa pośpiesznie wydała nam dokumenty zaświadczające ukończenie liceum i uciekła do Rumunii. W dniu 10 kwietnia 1944 roku Odessa została wyzwolona. Wśród niedoszłych absolwentów liceum przyjęto mnie do klasy maturalnej szkoły średniej. Wkrótce, w dniu 30 maja, wszystkich chłopaków rocznika 1926 powołano do wojska, i matura mi się wymknęła. Dostałem co prawda, zaświadczenie, że uczęszczałem do dziesiątej klasy.

Po niedługim przeszkoleniu w 22 Ćwiczebnej Dywizji Strzelców, rozlokowanej w Sielcach niedaleko Riazania, zostaliśmy fizylierami. W tej samej dywizji złożyliśmy przysięgę wojskową, po czym we wrześniu 1944 roku skierowano nas na Pierwszy Front Białoruski. Trafiliśmy do 49 Rosławlskiej Dywizji Strzelców, która stacjonowała niedaleko Brześcia. Na początku listopada dywi-

zję przerzucono do Polski. Rozlokowano nas w lasach niedaleko Lublina. W dniu 4 stycznia 1945 roku, kiedy już zupełnie ściemniało, nasza dywizja wyruszyła na pierwszą linię. Kroczyliśmy długą kolumną, składającą się z trójosobowych szeregów: pluton po plutonie, batalion po batalionie, pułk po pułku. Każdy z fizylierów, prócz pistoletu maszynowego PPSz oraz dwu rezerwowych magazynków bębnowych dźwigał w plecaku dodatkowo cztery kartony z nabojami do ręcznego karabinu maszynowego. Szliśmy przez całą noc aż do świtu. Dwudziestostopniowy mróz odczuwaliśmy dopiero pod czas krótkich postojów, kiedy odpoczywaliśmy na wpół leżąc z oparciem na plecakach naładowanych amunicją. Po pojawieniu się na niebie Jutrzenki, chowaliśmy się po lasach. Rozpalać ogniska, przy których ogrzewaliśmy się, zezwalano wyłącznie w porze dziennej. W ten sposób maszerowaliśmy przez sześć nocy. Po przeprawieniu się na lewy brzeg Wisły dywizja zajęła transzeje i przygotowała się do natarcia. O godzinie ósmej rano dnia 14 stycznia rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie – przez dwie godziny strzelały armaty, moździerz, „katusze”. Wreszcie czerwoną rakieta dano znak do rozpoczęcia natarcia. Jako pierwszy z okopów z krzykiem „za mną!” wybiegł dowódca naszego batalionu major Subbotin. W prawej ręce trzymał pistolet, lewe zaś ramię miał zabandażowane po niedawnym trafieniu przez odłamki artyleryjskie. Obok niego biegła sanitariuszka, a myśmy podążali za nimi. Mieliśmy wyrzucić Niemców z dziesięciu równoległych linii transzejowych. Przed bojem ogłoszono rozkaz: „Jeńców nie brać i przy życiu nie pozostawiać!” Po obrzuceniu kolejnej transzei granatami biegliśmy dalej. Zdążyłem przebiec zaledwie dwie linie, kiedy przede mną wybuchła niewielka mina. Jej odłamek trafił mnie powyżej prawego łokcia i uniemożliwił dalszy udział w walce.

W wyniku naszego natarcia została wyzwolona Warszawa, więc zostałem udekorowany medalem „Za Wyzwolenie Warszawy”. Po wyleczeniu skierowano mnie razem z czteroosobową grupą żołnierzy do naszej dywizji, która po sforsowaniu Odry trzymała obronę w pobliżu Berlina. Jechaliśmy najczęściej w tamburach wagonów towarowych lub szliśmy przez dłuższy czas na piechotę. W pierwszej połowie marca powróciłem do składu 212 pułku, lecz zaliczono mnie do innego – trzeciego batalionu. W dniu 14 kwietnia znów ruszyło natarcie, podczas którego pomagałem przy obsłudze ręcznego karabinu maszynowego. Następnego dnia mój kolega został zraniony, więc zacząłem obsługiwać erkaem samodzielnie. Pod koniec dnia seria pocisków nieprzyjacielskich przestrzeliła mi prawe ramię i ponownie trafiłem do szpitala, który mieścił się we wsi Sandor, położonej 30 km od Frankfurtu nad Odrą. Tam dowiedziałem się o zakończeniu wojny. Po kuracji skierowano mnie nie do mojej dywizji, lecz do pułku rezerwowego. Parowozem bez wagonów przejechaliśmy przez całkowicie zburzony Berlin. Podróż owa trwała cały dzień, gdyż długo staliśmy na każdej miejskiej stacji. Nie było postoju tylko obok Reichstagu.

W docelowym mieście Roslau nad Elbą sformowano z nas niewielki oddział, składający się z trzydziestu żołnierzy, celem przeprowadzenia tabunu koni pociągowych do Smoleńska. Powoli podążyliśmy furmankami przez Niemcy i Polskę do Związku Radzieckiego. Minęliśmy między innymi Poznań i Łódź. Wjazd do większych miast był dla nas zabroniony przez komendantury wojskowe, więc oglądaliśmy je wyłącznie z oddali. Był gorący czerwiec. Wzdłuż obu stron drogi ciągnęły się niezliczone czereśnie. Jeden z żołnierzy, żeby nie tracić czasu na obrywanie poszczególnych owoców z drzewa, odłamał pokaźną gałąź i jadąc delektował się. Nagle wyprzedził nas samochód, z które-

go wyskoczył major – komendant wojskowy z pobliskiego miasteczka i zatrzymał nasz karawan. Od komendanta dowiedzieliśmy się, że czereśnie jeść wolno, a złamanie drzewa traktowane musi być jako maruderstwo, więc winowajca zostanie oddany pod sąd wojenny. Woźnice tłumaczyli się, że stale byli zajęci przy koniach, więc nie można ich nawet posądzać o wyłamywanie się z karności. Wtedy major zdecydował się wszystkich zbędnych jego zdaniem żołnierzy, odesłać do miejsca przeznaczenia kolejną.

Trafiliśmy najpierw do Warszawy. Miasta, co prawda, widać nie było – same tylko rozległe tory kolejowe, na których siedziało mnóstwo ludzi, prowadząc handel jak na rynku. Razem z przyjacielem zapytaliśmy jednego z handlarzy o cenę tytoniu, lecz on powiedział, że sprzedaje machorkę. Towar wyglądał jak prawdziwy tytoń, więc ponowiliśmy prośbę. Wtedy poirytowany sprzedawca przywołał swego znajomego z woreczkiem tytoniu. Kupiliśmy całą menażkę towaru, który na nasz rozum, w niczym od poprzedniej „machorki” się nie różnił.

Granicę przekroczyliśmy niedaleko Białegostoku. Jechaliśmy siedząc na szynach kolejowych, stanowiących ładunek otwartych ze wszystkich stron wagonów towarowych. Niebo aż do widnokręgu było zakryte ogromną ciężką i sinawą chmurą. Sprawiało to wrażenie, że posuwamy się wzdłuż morza. Powiedziałem o tym żołnierzowi z sąsiedniego wagonu. Ten z kolei zapytał, skąd wiem jak morze wygląda. Okazało się, że obaj pochodzimy z Odessy. W ten sposób zaprzyjaźniłem się z Aleksym Brykulą. Przyjaźń ta trwała przez całe życie... Nieco później razem z nim na stacji Ugra braliśmy udział w zaopatrywaniu jednostki w drzewo opałowe na zimę. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach, które trzeba było opalać przez całą dobę. W tym celu wyznaczono dwóch dyżurnych żołnierzy. Zmiana odbywała się po obiedzie. Owego dnia nastąpiła nasza kolej. Już zdążyliśmy narząć dREW na całą dobę. Mieliśmy tylko to wszystko porąbać, kiedy wbiegł żołnierz i krzyknął, że naszych, czyli Żukowców, biją. Włożyłem szynel i chciałem już wychodzić, kiedy Aleksy spokojnie pyta mnie, gdzie zamierzam iść. Tłumaczę, że chcę bronić żołnierzy, z naszego byłego frontu. W odpowiedzi słyszę, że jeżeli to nie jest bitwa z faszystami, lecz zwykła bijatyka chulikańska i jeśli nie mam do bójek skłonności, to najlepiej dać temu spokój. W ten rozsądny sposób niechybnie uratował mnie od przykrych konsekwencji.

Poniemieckie konie nie wytrzymały ciężkiej pracy, pół głodowej egzystencji oraz surowej zimy i zdychały jeden po drugim. Losy tych nędznych szkap nie obchodziły nikogo, prócz mieszkańców sąsiadującej z Ugrą wioski, do której nas skierowano. Całą ludność tej wsi stanowiły kobiety i dzieci. Kiedy zdechł kolejny koń, kobiety prosiły felczera by oddał im trupa. Felczer jednak obawiał się ewentualnego zatrucia, więc rozkazał konia oblać naftą i zakopać. Wtedy jedna z kobiet powiedziała: „Ocalałeś w tej wojnie, zaś nasi mężowie polegli na froncie, a szkoda ci dla nas zdechłego konia”! Wzruszony lejtnant polecił oddać wieśniaczkom kolejnego konia na wykończeniu, który nie miał już szans powrócić do sprawności. Z rzewnością i smutkiem wspominam po upływie sześćdziesięciu lat, jak owe nieszczęsne kobieciny uniżenie dziękowały oficerowi za hojną ofiarę.

Głucha smoleńska wieś, która wśród starych sosen stała na kształt wysepki, wstrząsnęła mnie swoją biedotą. Wychowany byłem w rodzinie niebogatej, lecz w dużym i pięknym mieście. Nie mogłem sobie wyobrazić, że można nazwać

klubem dużą izbę drewnianą, która nawet podłogi nie posiadała. Gdyby mi nie powiedziano, że idziemy do klubu, pomyślałbym, iż trafiliśmy do obory. W klubie mętnie paliła się jedna świeca. Harmonista grał „stradanija” – ludowe przyspiewki miłosne, lecz właśnie płci pięknej tu brakowało. Kiedy wyjrzelśmy z klubu, białogłowy, które stały gromadą przy ścianie budynku, raptem rozpierzchły się w różnych kierunkach. Zdążyłem zauważyć, że na nogach miały łapcie. Wtedy nasze mocno podniszczone żołnierskie buty z owijaczami, po raz pierwszy i chyba ostatni, zaczęły wyglądać, według nas, szczególnie elegancko.

Ze Smoleńszczyzny skierowano naszą jednostkę do Dniepropietrowska na Ukrainie, skąd odesłano mnie do stancy Bielorieczeńskiej na Kubaniu, stamtąd zaś trafiłem do Krasnodaru, gdzie pełniłem służbę w charakterze drukarza gazety „Wojennyj Żeleznodorożnik” („Kolejarz Wojskowy”). W roku 1948 postanowiłem zdobyć maturę i złożyłem dokumenty do Wieczorowej Szkoły Średniej nr 5, która mieściła się w gmachu kolejarskiej Szkoły nr 12 na rogu ulic Gogola i Żeleznodorożnej, czyli tuż obok miejsca mojej służby. Pod koniec sierpnia na placu szkoły rozpoczęto sprzedaż podręczników. Sterty książek leżały na stole, przy którym siedziała sprzedawczyni. Pomagała jej kędzierzawa dziewczyna o czarnych oczach. Ustawiłem się w kolejce, a z tej dziewczyny oczu nie spuszczałem. Niestety, coś odwróciło moją uwagę, a kiedy przyszła kolej na mnie – dziewczę już zniknęło. W dniu 1 września zjawiłem się w klasie zawczasu, chyba na kwadrans przed rozpoczęciem lekcji. Nagle zauważyłem, że tamta dziewczyna siedzi z jakimś chłopakiem w pierwszej od okna ławce. Po przywitaniu się usiadłem z tyłu za nimi. Byłem uradowany z tego, że wkrótce zabrzmi dzwonek, wejdzie nauczyciel, rozpocznie sprawdzanie obecności i w ten sposób dowiem się jak jej na imię, oraz że zostaniemy kolegami, więc nasze spotkania będą częste. Wyszło na jaw, że ona ma na imię Wiktoria, a ten chłopak – to jej brat Paweł, z którym niebawem zaprzyjaźniłem się.

Bez względu na trudności, jakie towarzyszyły pracy w drukarni, rok szkolny dla mnie upłynął pomyślnie. Nastąpiła pora egzaminów. Aktywiści uprosili dyrektora, by zezwolił nakryć do stołu z okazji balu maturalnego. W tym celu każdy z nas wpłacił po sto rubli. Razem z klasą zdałem już wszystkie egzaminy prócz egzaminu z historii. Na przygotowanie się mieliśmy trzy dni. Właśnie w tym samym czasie redaktor gazety podpułkownik Proskurin otrzymał rozkaz o przeniesieniu mnie oraz jeszcze jednego żołnierza służby czynnej, Kuramszyna, do plutonu komendanckiego, rozlokowanego w innej dzielnicy miasta. Interwencja redaktora w sztabie brygady odniosła tylko częściowy skutek – Kuramszyn pozostał w drukarni, natomiast ja z rzeczami i papierami miałem się zameldować dowódcy plutonu komendanckiego lejtnantowi Hryńkowi. Noc przed egzaminem spędziłem na posterunku. O siódmej rano mnie zlużowano i co tchu popędziłem stawić się na egzamin. Wcale nie byłem przygotowany, lecz ocena dostateczna los mój uratowała.

Uporczywie nurtowała mnie troska, czy zostanę zwolniony z jednostki na bal maturalny? Lecz szef kompanii po uważnym wysłuchaniu prośby zwolnił mnie aż do samego rana. Dyrektor szkoły Bazyli Michałowicz Sawieljew złożył nam serdeczne gratulacje z okazji ukończenia szkoły, rozdał świadectwa maturalne i zaprosił nas do zastawionego stołu. Wszyscy tryskali radością. Po licznych toastach, ogłoszonych przez dyrektora i absolwentów, rozpoczęły się tańce. W tamtym czasie jeszcze nie umiałem tańczyć, więc podpierałem ścianę.

Wtenczas odnalazła mnie Wiktoria i na moje tłumaczenia, że tańczyć nie potrafię, rezolutnie powiedziała: „Chodźmy, nauczę cię”. Jakimś cudem udawało mi się tańczyć i byłem z tego powodu bardzo szczęśliwy. Bliżej rana zabawa wygasła i zaczęliśmy się rozchodzić. Wyszliśmy z Wiktoria trzymając się za ręce. Odprowadziłem ją do samego domu, który mieścił się na podwórzu Biblioteki imienia Puszkina, okrążonej wtedy przez parkan z wysokich murowanych słupków i krat żeliwnych między nimi. Całkowicie się już rozwidniało. Zdecydowałem się poprosić Wiktoria o dalsze spotkania, lecz odmówiła mi i na tym rozstał się. Jeszcze przez rok odbywałem służbę w Krasnodarze. Dowiedziałem się przypadkiem, że Wiktoria studiuje na Wydziale Filologicznym Akademii Pedagogicznej, zaś jej brat – na Wydziale Matematyczno-Fizycznym. Pewnego razu kupiłem dwa bilety, zajrzałem do ich domu i zaproponowałem Wiktorii wspólne pójście do kina, lecz stanowczo mi odmówiła.

W czerwcu 1950 roku nasza 36 Brygada Wojsk Kolejowych została przeniesiona do obwodu Wschodnio-Kazachstańskiego, gdzie miała brać udział w budowie Ust'-Buchtarmińskiej Elektrowni Wodnej. Tuż przed odjazdem do Kazachstanu zostałem wyznaczony na stanowisko pisarza Wydziału Administracyjno-Gospodarczego. Zbliżał się już koniec szóstego roku mojej czynnej służby wojskowej. Dowódcy zapowiadali rychłą demobilizację. W końcu września, od kolegi, pisarza z Wydziału Specjalnego, dowiedziałem się, że istnieje poufny rozkaz, dotyczący demobilizacji z dniem 1 września 1950 roku żołnierzy rocznika 1926, posiadających maturę. Chciałem niezwłocznie biec do sztabu, lecz kolega poprosił mnie o dyskrecję. Przez całą noc obmyślałem plan, w jaki sposób skorzystać z tej wiadomości, a nie narazić kolegi? Następnego dnia zwróciłem się do majora Dronowa, który niedawno rozpowiadał na temat niedalekiej już demobilizacji, z prośbą o niezwłoczne zwolnienie mnie z wojska, gdyż zamierzam jeszcze w roku bieżącym rozpocząć studia na wyższej uczelni. Skutek był natychmiastowy. Przeniesiono mnie do rezerwy, nadając jednocześnie w charakterze wyróżnienia, stopień młodszego sierżanta.

Już w dniu 30 września po otrzymaniu odpowiednich dokumentów wsiałem do ciężarówki, jadącej do Ust'-Kamienogorska, skąd pociągiem wyjechałem do Odessy, gdzie mieszkali moi rodzice. Po tygodniu byłem w domu i już następnego dnia zwróciłem się do rektora Akademii Pedagogicznej imienia Uszyńskiego z prośbą o przyjęcie mnie na studia. Rektor mi wytłumaczył, że nie może przyjąć mnie bez egzaminów, które się już odbyły. Rektorzy innych uczelni tak samo radzili mi przyjść po upływie roku. W filii jednej z branżowych uczelni poradzono mi zwrócić się w tej sprawie do właściwego ministerstwa. Powróciłem do Akademii Pedagogicznej i poprosiłem sekretarkę o adres ministerstwa. Adresu nie dostałem, lecz poradzono mi za dwie godziny zjawić się u rektora, który z kolei skierował mnie do dziekana. Ten wyznaczył egzaminy wstępne, po zdaniu których mnie, jako zdemobilizowanego żołnierza, zaliczono do stanu studentów Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Chciałem o tym fakcie poinformować Wiktoria, lecz nie znałem jej adresu. Dopiero później wpadłem na pomysł odesłać list na adres uczelni krasnodarskiej, który można było znaleźć w poradniku dla maturzystów. Zawiązała się korespondencja.

Tymczasem w Odessie otwarta została szkoła tańców balowych, w której zajęcia obejmowały trzy stopnie. Każdy kosztował mnie 50 rubli. Po jej ukończeniu potrafiłem zatańczyć nawet mazurka. W lecie stale odwiedzałem kółko

taneczne, czynne codziennie od siódmej wieczorem. O dwunastej w nocy tradycyjnie zamykał je właśnie mazurek.

W roku 1953 po sesji zimowej pojechałem do Krasnodaru do ukochanej Wiktorii. Tym razem przyjęła mnie przychylnie. Wieczorami chodziliśmy do kina oraz na tańce do Klubu Oficerskiego. Wreszcie w dniu 7 lutego zawarliśmy małżeństwo. Po ukończeniu Akademii Pedagogicznej Wiktorii dostała skierowanie na stanowisko nauczycielki języka i literatury rosyjskiej w szkole stancy Jeriominińskiej, w rejonie Łabińskim. Przeniosłem się na Wydział Zaoczny Akademii w Krasnodarze i pojechałem razem z żoną nauczać w szkole matematyki. W roku 1955 wróciliśmy do Krasnodaru, gdzie rozpocząłem pracę w charakterze nauczyciela fizyki w Szkole Wieczorowej nr 8 w osiedlu Krasnodarskiej Elektrowni Ciepłej. W roku 1970 odznaczono mnie medalem „Za ofiarną pracę dla upamiętnienia 100-lecia urodzin W.I. Lenina”.

W grudniu tegoż roku objąłem stanowisko zastępcy dyrektora Szkoły Średniej nr 44 do spraw szkoleniowo-wychowawczych. Od roku 1976 byłem dyrektorem Szkoły Wieczorowej nr 9 w osiedlu Kombinatu Sukienniczego. W roku 1984 usunięto mi część lewego płuca, a dwa lata później pożegnałem się z pracą i zostałem emerytem. Po dwóch latach wypoczynek mi się sprzyrzył i przez dalsze pięć lat pracowałem w charakterze elektryka w akademiku nr 5 Kubańskiego Uniwersytetu Państwowego. Jednak zdrowie moje szwankowało tak bardzo, że uznano mnie za inwalidę wojennego i pracę ostatecznie już porzuciłem.

Bardzo dawno temu nabyłem poemat Adama Mickiewicza „Pan Tadeusz”, wydany w dalekim 1914 roku, lecz pomimo kilku prób przeczytać go nie potrafiłem, gdyż zupełnie zapomniałem mowę ojczystą. W roku 1993 całkowicie przypadkowo na bazarze kupiłem duży słownik polsko-rosyjski. Pomyślałem sobie, że byłby mi bardzo przydatny do tłumaczenia Mickiewicza. Zajęcie owo o tyle mnie zafascynowało, że po *Panu Tadeuszu* zabrałem się do *Sonetów Krymskich*. W dalszej kolejności przeczytałem opowieść Walerego Przyborowskiego *Raławice*, opowiadania Henryka Sienkiewicza oraz opowieść Władysława Kisielewskiego *Batalion Śmiałych* o walkach Polaków z banderowcami. Kiedy dowiedziałem się o istnieniu w naszym mieście Polskiego Centrum Narodowo-Kulturalnego „Jedność”, zostałem jego członkiem i od września 2006 roku uczęszczałem na kurs języka polskiego, który pomyślnie ukończyłem. Dzięki temu czytanie po polsku nie sprawia mi już większych trudności.

Moja małżonka Wiktorii, córka Eliasza z domu Gurdy, urodziła się w roku 1926 w Krasnodarze w rodzinie Krymczaków. Pracę rozpoczęła w roku 1943 w parowozowni stacji Bielorieczeńska Północno-Kaukaskiej Kolei Żelaznej. Po ukończeniu z wyróżnieniem Akademii Pedagogicznej w ciągu ponad trzydziestu lat pracowała w szkole średniej jako nauczycielka języka i literatury rosyjskiej. Od roku 1974 jest również dziennikarką. Na jej dorobek twórczy składa się ponad dwieście pięćdziesiąt publikacji, w tym wiersze, nowele, eseje, artykuły pedagogiczne, zamieszczone w prasie centralnej i lokalnej (miesięczniki „Aurora”, „Družba Narodow”, „Literatura w Szkole”, „Sowietskaja Żenszczina”; gazety „Judok”, „Prawda”, „Sowietskaja Kubań”, „Uczitielskaja Gazeta” i inne). Jest laureatką pięciu konkursów literackich w zakresie esejów (pierwsza i trzecia nagroda w konkursach ogólnokrajowych oraz dwie pierwsze i jedna trzecia nagroda w konkursach międzynarodowych).

Od najmłodszych lat Wiktoria zbiera i tłumaczy na język rosyjski twórczość ustną swojego nielicznego, lecz starożytnego narodu – Krymczaków. W roku 2003 wydała książkę *Ludowe piosenki i przysłowia Krymczaków*. Po roku razem z synem, który też jest poetą, wydała książkę *Duet Poetycki*. Obecnie, będąc obłożnie chorą, kontynuuje współpracę z miesięcznikiem „Priroda i Czelowiek” („Swiet”). W numerze wrześniowym z bieżącego roku zamieszczono jej opowiadanie *Kolonie letnie... na podwórku*.

Mamy z Wiktoria dwóch synów. Starszy syn Sergiusz, urodzony w roku 1954, po ukończeniu Politechniki Krasnodarskiej pracował w Inspekcji Kotłowej, później był głównym inżynierem Bazy Wytworów Metalowych, zaś obecnie jest kierownikiem Działu Zaopatrzenia Gospodarczego w Międzyregionalnym Komercyjnym Banku Transportowym. Jego żona Świetłana jest z zawodu nauczycielką muzyki i pracuje w Departamencie Kultury Kraju Krasnodarskiego. Ich córka Irena, urodzona w roku 1979, ukończyła Wydział Historyczno-Ekonomiczny na Uniwersytecie Kubańskim. Ona od lat dziecięcych pięknie małuje. O tyle dobrze zdołała opanować język angielski, że obecnie pracuje w Ambasadzie Wielkiej Brytanii w Moskwie. Syn Elias, urodzony w roku 1982, po ukończeniu Politechniki Krasnodarskiej pracuje jako inżynier w firmie „Boulangerie”. Również dobrze włada językiem angielskim.

Nasz młodszy syn Andrzej, urodzony w roku 1959, po ukończeniu Politechniki Krasnodarskiej został promowany na oficera i skierowany był do wojska. Przez dwa lata odbywał służbę jako dowódca plutonu artyleryjskiego w Leningradzkim Okręgu Wojskowym za Kręgiem Polarnym. Obecnie w charakterze inżyniera programisty pracuje w biurze personalnym Parku Miejskiego im. Gorkiego. Jest członkiem Zjednoczenia Młodych Pisarzy Kubania, laureatem Konkursu „Młodzi o Wojnie”. W roku 1996 był stypendystą Administracji Kraju Krasnodarskiego w dziedzinie kultury, literatury i sztuki. Jego wiersze zostały opublikowane w różnych pismach: „Dusza Moja”, „Mołodaja Gwardija”, „Mołodaja Kubań”, „Nad Kubańju”, „Priroda i Czelowiek” („Swiet”), „Uczitel'skaja Gazeta”, „Ulica Krasnala” i innych. W roku 1993 wydał książkę *Wiersze, Parodie, Szkice*, w roku 2004 razem z matką zbiór *Duet Poetycki* a potem książkę dla dzieci *Obok starej karuzeli*. Jego żona Irena, po ukończeniu Wydziału Ekonomicznego na Akademii Rolniczej pracuje w firmie prywatnej. Ich córka Aleksandra, urodzona w roku 1988, jest studentką trzeciego roku na Uniwersytecie Politechnicznym, zaś syn Demetriusz uczęszcza do klasy maturalnej szkoły średniej.

Minęło grubo ponad pół wieku, jak ród Babińskich zakorzenił się na Kubaniu, z dala od Odessy czy też Polski. Tym niemniej ani czas, ani burzliwe losy nie potrafiły zerwać nici, mocno łączących mnie z moim polskim rodowodem.¹

Opracował Dariusz Józef Sas

¹ Przedruk z „Wiadomości Polskie”, nr 3 (18). 2007 r. Pismo Krasnodarskiej Organizacji Regionalnej. Polskie Centrum Narodowo-Kulturalne „Jedność” w Krasnodarze.

